Rok IV.

Nr. 15. Nr. 15.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 11 kwietnia 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

Opis Bukowiny

przez

Bolesława Prawdzica Chotomskiego.

(Dokończenie.)

Chów koni w cesarskich stadninach, liczących do 2,500 sztuk rasy czysto arabskiéj, angielskiéj i mięszanéj z dwóch poprzednich, ma główne siedlisko w Radowcach, mieście powiatowém Wschodniéj Bukowiny, przylegającém do ogromnego obszaru pól, pastwisk, łąk i lasów, które pozostają w zarządzie rządowym i stanowią poniekąd wzór postępowego gospodarstwa dla Bukowiny (wzór w każdym razie niebezpieczny, bo dochody nie dorównują wydatkom). W Radowcach tedy jest główny zarząd ces. król. stadnin i największa ilość rasowych koni.

Opodal Radowiec w Miltoce, jako też w Zachodniéj Bukowinie w Bobajce, Łuczynie; w środku kraju we Frasinie nad rzeką Suczawą są poumieszczane mniejsze stadniny.

Konie, oprócz źrebnych klaczy i ogierów do rozpłodu używanych, od wiosny do zimy, podzielone na stada odpowiednie po 200—300 sztuk, żyją i pasą się na wolności. Do każdego stada dodany Czikos czyli węgierski pastuch, jeździec dzielny, dziki, zręczny i zwinny, który czuwa nad bezpieczeństwem powierzonego mu stada. — Z nadejściem zimy stada zagnane bywają do swoich stajen.

Czikos, żyjący rok cały w stepie, razem z dzikimi końmi, to typ nieznany światu cywilizowanemu. Widok uciekającéj mil kilka stadniny, za którą goni Czikos, jest to widok, który tylko mistrzowskie oko Kossaka wiernie w malowidle oddać może.

Oprócz wymienionych ces. król. stadnin, trudnią się chowem doskonałych koni niemieckie gminy i więksi posiedziciele dóbr.

Cena pięknego rasowego lub wysoko poprawnego konia od 130 do 400 talarów, konie robocze w cenie od 20 do 80 tal.

Hucuły, czyli konie górali, osobna rasa zwięźle budowanych, ładnych i bardzo pojętnych zwierząt, wytrwałych i bardzo silnych, używanych do dźwigania w górach zboża i t. p. od 40 do 100 tal. Koń huculski, trzymany w stajni i na obroku, to prawdziwe pieścidełko.

Chów bydła w Bukowinie jest znaczny. Bydło lekkie, zwinne i silne, krajowe siwéj barwy, wychowane pod gołem niebem latem czy zimą, i w zagrodach. Litość zbiera patrzeć na te stworzenia, gdy wśród dokuczliwego mrozu i zamieci śnieżnéj, biegają dla ogrzania się, lub żałośnie ryczą. Wiosnę, lato i jesień bydło żyje na pastwiskach. Obfitość siana wybornego i słomy z kukurydzy, korbali czyli, jak Rusini nazywają, arbuzów, dostarcza bydłu obfitéj paszy; wyborna woda słodka i słona przyczynia się do jego zdrowia, jednakże z powodu niedbałości o ochronę przed zimnem i skwarem, chłop bukowiński nie ma z krów żadnego zysku, prócz dochówku. Mleko i masło po wsiach stósunkowo bardzo drogie, bo po 15 sgr. ½ kilograma masła, śmietanka tylko w wykwintnych domach znana.

Cena dobréj krowy od 50 do 100 tal. Cena trzyletniego wołu od 40 do 80 tal. — Młódź, zwłaszcza po zimie, za bezcen do nabycia. Cena tucznego wołu w Wiedniu od 160 do 220 tal.

Chów owiec, i to grubowełnistych, li tylko w chłopskiém ręku; więksi właściciele owiec od niejakiego czasu wcale nie trzymają. — Dawniéj, gdy majątki pozostawały w ręku chrześcijan, posiadała Bukowina piękne stada owiec cienkowełnistych; obecnie, gdy żydzi po największéj części pokupowali lub zadzierżawili dobra, zwrócili swoje usiłowania głównie na opas bydła przy gorzelniach, i owce znikły.

Chów kur w Bukowinie i w ogóle podwórzowego ptastwa bardzo znaczny, miljony jaj rok rocznie zakupuje ztąd zagranica.

Trzoda chlewna, byle jak żywiona i utrzymywana, drobna i krótka; chociaż wołoskie i węgierskie świnie na podziw rosłe, z kędzierzawą szczeciną, miękką, lub z twardą, prostą i znacznéj długości, mogłyby być z łatwością do Bukowiny wprowadzone.

Z pomiędzy ludności zamieszkującéj Bukowinę, Niemcy i Filiponi są najzamożniejsi i nnjpracowitsi; Niemcy trudnią się uprawą warzyw, dowozem drzewa, rólnictwem, chowem bydła i drobiu. Filiponi pilnują głównie robót ziemnych, jako to: spuszczania i osuszania stawów, błot, kopania rowów i t. p., w czém bardzo są biegli.

Następnie co do pracowitości idą Górale czyli Huculy, którzy z wiosną schodzą w doliny i od sianożęcia do końca żniw wykończają żniwne prace; wynajmują się także do wykopywania pni i zarośli poleśnych.

Węgrzy i Słowaki pracują sami dla siebie. Rusini i Wołosi najmniéj chętni do wszelkiéj pracy, ostatni mianowicie. Mimo tego, wszystek lud w Bukowinie, suto i bogato przyodziany, czystość w chatach wzorowa, kobiety dbałe nadzwyczajnie o to, i dla tego widok wsi bukowińskich mile oko bawi. Porozrzucane chaty na wzgórzach i w dolinie, bielutkie, na kobiercach ślicznéj murawy i zwykle otoczone małym ogródkiem drzew owocowych.

Zamków ani pałaców nie ma w całéj Bukowinie po wsiach, najzamożniejsi obywatele mieszkają w dostatnich i obszernych dworach szlacheckich, bezpiętrowych. — Dworów o piętrze nie naliczy jak z 4 do 5 i to skromnych rozmiarów.

Cyganów dość liczne osady po wsiach i po miastach, trudnią się muzyką, rzemiosłami i nieco rólnictwem.

Kradzieże są tu bardzo rzadkie, rozboje zdarzające się czasem są wykonywane przez opryszków węgierskich lub siedmiogrodzkich. Żandarmerja doskonale uorganizowana i władze gminne czujne i czynne czuwają nad bezpieczeństwem publiczném.

Szkoły zaprowadzają po wszystkich gminach; jeżeli zmuszą władze żydów do kształcenia się wspólnego żydowskich z chrześcijańskiemi dziećmi, to szkodliwa wyłączność żydów i ich chrześcijanom wraży fanatyzm osłabi się nieco, a z czasem i ustać zupełnie może.

Zakończam mój opis pobieżny Bukowiny niniejszém; niech Czytelnicy wybaczą niedokładność téj pracy, nieregularnie Redakcji dosełanéj to z domu, to z Czerniowiec, z Wiednia i Pesztu. Na dokładną pracę czasu mi nie staje, lecz zwrócić Ziomków uwagę na Bukowinę uważałem za mój obowiązek.

O czytelnikach nieczytających i czytających, — O czytaniu jako środku kształcenia się, oraz O najgłówniejszych przyczynach: „Czemu nasze Towarzystwa Oświaty Ludowéj są niepłodne i przy znacznych środkach a jeszcze znaczniejszych dobrych chęciach szukają do pochodu rumaków na których siedzą?

przez

Władysława hr. Chotomskiego.

Cel czytania może być sześciorakim: 1) zabawa, 2) uspokojenie natrętnéj ciekawości, 3) zadowolnienie uczucia, 4) zbieranie materjałów dla uczuć i myśli, 5) dla kształcenia się w uczuciu piękna i prawdy, i 6) kształcenie się czyli badanie prawd prawdy i piękna.

1. Dziecko bawi się czytaniem, — ale są dzieci różnego wieku — często bynajmniéj nie młode. Tacy czytelnicy po przeczytaniu dziełka tyle korzyści mają ze swego czytania, ile z układania pacjansu, lub z gry w młynka lub forteczkę. Takich czytelników nawet najlichsze pismo zabawi — a mianowicie gdy są jeszcze przytém obrazki jakie takie, zwłaszcza „barwiste.“

2. Mawiają że: „ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła.“ To prawda! ale wtedy tylko, gdy ta ciekawość ogranicza się na czystych stosunkach osób w potoczném życiu. Wada ta szkólnéj młodzieży jest bardzo pospolitą i w późniejszym, — ba! — nawet najpóźniejszym wieku. Czytelnicy tacy zwykle są zadowolnieni gdy się mówi szczególniéj coś niezwykłego o osobach, a choćby i o uosobionych istotach, mniejsza o to żywych czy martwych, byle były fantazją choćby chwilowo ożywione. Dla nich jeszcze milsze od czytania pism — są słyszane o bliźnich plotki, a bajki, alegorje, przypowieści najulubieńszą treścią i formą.

Większa część czytelników w ludzie należą do tych dwóch oddziałów. Tu forma listowa jeszcze wielce zajmuje — ale przedewszystkiém n a d z w y c z a j n o ś ć, choćby i najwięcéj naciągana — byle nie naturalna — nie prosta. Dla takich czytelników prawidłowy cud n. p. naturalny wyrost dębu ze ziarnka, jest obojętny, — ale ich zadziwi, gdy im się powie, że ze żołędzi wyrosł dąb w kieszeni w mgnieniu oka.

3. Trzeci cel czytania, dla zadowolnienia uczuć — wymaga przedewszystkiém czułostkowości, będąc obojętnym na prawdziwą czułość. Liryzm niższy w zachwyt je wprawi, zwłaszcza gdy miłość, nienawiść, srogość i inne gwałtowne pasje ożywiają bohatyrów. Romans naturalnie to ideał xiążki. Młodzież dorastająca, kobiety w ogóle i mieszkańcy małych miast rozpływają się w tém czytaniu — i czasopismo bez powieści — bez wierszy — to już nic nie warte, — a skoro się jaka liczba lub rachunek zabłąka w jaki artykuł — to rzucają xiążkę z przestrachem — przed myślą i myśleniem. Jako n u ż o n y c h dotąd nauką, sam tytuł: „naukowa xiążka“, „naukowy artykuł“ — odstrasza. Lecz nie tajmy sobie tego — że tego rodzaju czytelników znajdziemy pełno i w najwyższych nawet społecznych kołach nietylko w naszym narodzie, ale i we wszystkich, najucywilizowańszych w Europie, — i że ci czytelnicy są liczbowo najważniejsi. Dla ich zadowolenia suszą sobie głowy najbieglejsi literaci i najbogatsi nakładcy. Zaspokojić ich łatwo jaką taką znośną formą, żywém uczuciem i ruchem w opowiadaniu, mianowicie gdy znośnie bywają rysunkiem ilustrowane.

Trzy te kategorje czytelników nazywamy: c z y t e l n i k a m i n i e c z y t a j ą c y m i, a to z tego powodu, że

żaden z nich nie myśli samodzielnie, owszém jak woźnica gdzie chce kieruje końmi, byle wiózł na spacer — tak i tym czytelnikom obojętném jest kto ich wiezie i dokąd jadą, byleby to prędko było i jako tako wygodnie. Potrzeba zmian okoliczności — rzeczywistych na wymarzone, — już czém tém, ale innėm od ich życia, marzenia tych czytelników bezmyślnych zupełnie zadowolni.

Towarzystwa Oświaty Ludowéj powinny nie spuszczać tego z oka i nie silić się jak wydawcy spekulanci o zadowolnienie tego ludu, ale owszém celem tych towarzystw być powinno, ażeby właśnie te masy od marzeń oderwać, do myślenia nakierować. Uda się to tym sposobem, że w każdém dziełku nieomal rozpoczynać od zabawienia ich — przejść do zadowolnienia ich ciekawości — dalej zadowolnić ich uczucie, — ażeby przejść stopniowo przez następne trzy kategorje i to zawsze nieznacznie i konsekwentnie.

4. Komu siły umysłowe wzmogły się do tego stopnia, że zapragnie szukać piękna i prawdy we formie i treści tego co czyta, — ten we wyborze jest wybredniejszym, ale jeszcze nie pojmie ani pierwszéj ani drugiéj, chyba tym sposobem, że mu się stawia kontrasty piękna i brzydoty, fałszu i prawdy, a z wyraźném oznaczeniem co jest piekne, a co brzydkie, co prawdziwe a co fałszywe. Tego rodzaju czytelnicy już się porywają na własny sąd, — gdy dotychczasowi nie śmieją się zdobyć na tyle zaufania w swe siły i oczekują jakiegoś zdania poprzedniego — innych. Tu często zdarza się — że tacy nieczytający czytelnicy chcąc okazać nibyto swój sąd, bądź dla próżności saméj — bądź że osoba orzekająca swe zdanie nie ma ich zaufania, lub jest im nieprzyjemną, że objawiają sąd wręcz przeciwny podanemu — i przy nim na zawsze obstaną. Z nich też najwięcéj się rwie do pisania dzieł dla ludu.

Rzeczywiste powodzenie jakiego pisma zawisło głównie od wyroków nieczytających czytelników, do których się jeszcze i czwarta kategorja przyłącza. To właśnie jest cechą ich, że ci czytelnicy niepewności w sądzie występują zwykle ze swym potępiającym wyrokiem tém gwałtowniéj, zacięciéj, zjadliwiéj i chałaśliwiéj — im mniéj się na pięknie i prawdzie znają; zawsze przedewszystkiém wyszukiwać będą błędów, usterek, stron brzydkich i fałszywych w płodach, na które patrząc źle widzą, — a najczęściéj pozorem lub namową innych dadzą się uludzić. Kropka atramentu nie w swojém miejscu stanie się w umyśle ich — morzem a przynajmniéj sadzawką czarną. Niezwykła nowa forma, niezwykły nowy szyk, niezwykłe zakończenie przymiotnika, niezwykła pisownia — a nawet błędy drukarskie nie psujące znaczenia — dla trudu jeszcze jakiego w myśleniu doznają — takim czytelnikom czytającym stają się śmiertelnemi grzechami; oburzają się, że jakaś choćby najprawidłowsza w duchu języka lub myśli nowość nie chce się poddać temu jarzmu, do którego przywykli — i dla nich „u s u s t y r a n n u s“ t. j. każda nieprawidłowość — byle ogólnie używana — choćby była najnierozsądniejszą, staje się świętém, nieomylném — prawem.

Ale rzeczywiści czytający czytelnicy należą do następnych kategorji.

5. Kto ma na celu badanie piękna i prawdy, — ten w dziełach, które czyta, wynajdzie nawet piękno tam, gdzie go nie dojrzy niewprawne oko. Czytelnik taki lubować się tylko będzie w ideałach swych i z niemi wszystko porównywa krytycznie. Lecz takim jednorazowe przeczytanie dobrego dzieła nie wystarczy, owszém wracać doń będą tém częściéj, im więcéj wynajdywać w niém będą żądanych zalet; krytyka ich stanie się przeważnie pochwalną, gdy z czwartéj kategorji czytelnicy od ujemności rozpoczną krytykę tak arcydzieja jak i miernoty lub nawet lichoty.

6. To co się mówiło o czytelnikach badających piękno i prawdę, to samo da się zastósować i do czytelników śledzących prawa prawdy i piękna. Różnica pomiędzy nimi polega tylko na tém, że tym myślicielom prawa wywołujące prawdę i piękno, ważniejszém jeszcze są niż formy piękna i prawdy, bo im chodzi przedewszystkiém o przyczyny: związek prawd i piękna, o co nie dbają w kategorji poprzedniéj, — tak zwani literaci, poświęcający czasami prawdę dla formy, a nie wnikający tak głęboko w tajniki przyrody, w czynność ducha twórczego. Ztąd często w dziełach takich L e l e w e l ó w, K a n t ó w, w takich nawet poezjach jak H a l l e r’a, N o r w i d’a — poświęcono piękno stylu i formy — dla m y ś l i, która tam przytłumia wszystko inne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dziewicy!

Piękną jesteś dziewico — gdy na twojém czole
Błyszczą perły Cejlanu lub djadem złoty,
Gdy brylantów twych blaski tworzą aureolę,
Gdy ogniste promienie ócz twych niosą groty
W serca zdumionych widzów, a śnieżne ramiona,
Jak marmur kararyjski, lśnią bieluchnym puchem;
Gdy rozkoszna pierś drży ci, uczuciem wzburzona,
Wiążąc cię do wybrańca miłości łańcuchem;
Piękną jesteś dziewico, wyglądasz wspaniale,
Gdy zarzucisz na siebie gazowe obsłony,
Zwój brabanckich koronek, kaszemirskie szale,
I drobną nóżką depcesz mitry i korony!
O, piękną jesteś wtenczas, gdy na twoich licach,
Na purpurowych ustach, niby słońce w wiośnie,
Pali się uśmiech szczęścia, naiwnie, radośnie,
Lub chmurka gniewu siądzie, jak grom w błyskawicach,
Piękną jesteś! Lecz cudna, ja powiem ci szczerze,
Że najpiękniejszą — wtedy, gdy na twojéj skroni
Widzę męztwo Chrzanowskiéj, a w oczętach świeże
Łzy nad dolą swych braci; gdy w pieszczonéj dłoni
Trzymasz grosz miłosierdzia i gotową chustę
Do zatarcia dróg czarnych rozpaczy i biedzie,

Gdy słowem wskrzeszasz piersi potrzaskane, puste,
A uśmiech twój do życia i do czynów wiedzie,
Gdy z namaszczeniem wiedzy, jak posłanka nieba,
Uczysz dziatwę, lud polski, co jest polska gleba —
O, wtedy jesteś piękną, tak cudownie piękną,
Że nawet Cherubiny przed tobą uklękną!

Franciszek Gumowski.

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Po koncercie miano tańczyć. Cecylją pokazano tylko, jako cudo, lecz uważano ją jeszcze za podlotkę, więc na balu zostać nie mogła.

Usuwano krzesla na stronę. Panie witały się nawzajem. Panowie grupowali się różnie. Panią Węgielewską tłum elegancki otoczył — i wszyscy unosili się nad Cesi śpiewem uroczym — nad jéj grą na fortepjanie — sławiąc przytém wdzięk urody i powab jéj nieporównany.

Węgielewski przystąpił do kanapki, na któréj siedzieli jeszcze Soliński i prawnik.

— Pan Wincenty uprzedził mnie, że mam przyjemność powitania pana Jana Solińskiego — zagadał, podając rękę temu ostatniemu.

Soliński powstał grzecznie.

— Gdyby nie taki pośrednik, to i nie bylibyśmy poznali się pewnie, przynajmniéj nie tak zaraz — odrzekł, ściskając zlekka podaną sobie prawicę.

— Pozwól, kochany panie Janie, że ciebie do żony mojéj zaprowadzę. Dawna to znajoma przecie i ongi panna Ignacja Przedziewska.

— A następnie pani Tytusowa Morowicka.

— Właśnie... Rada ciebie powita, kochany panie Janie.

— Nie jestem balowy i wychodzę zaraz. Złożę państwu dnia którego moje uszanowanie.

— To przyjdź-że jutro wieczorem, kochany panie Janie! Przyjmujemy dnia każdego, a zabawimy tu jeszcze trzy tygodnie. Przychódź codziennie, proszę serdecznie! Bez ceremonji.

Soliński podał mu rękę i pokłonił się w milczeniu, bo sam nie wiedział jeszcze, czy przyjąć zaproszenie albo też odmówić.

— Czekamy jutro zaraz, z pewnością! — dodał jeszcze Węgielewski. — Panie Janie, zostawałeś w ściśléj przyjaźni z nieboszczykiem Tytusem, poznasz teraz córeczkę jego, śliczne dziecko! A jaki chic! Przecież i ja kiedyś na pensji twojém dobrém szczyciłem się sercem. Pamięć z lat młodych nie zaciera się nigdy. Przyjaźń szkólna przetrwa wszelkie inne. Odnowimy ją, Jasiu kochany! uścisnął dłoń jego oburącz. — I dobry pan Wincenty będzie na nas łaskaw!

— Przyjdę z panem Janem — odrzekł Nawrociński.

Właśnie, gdy obydwaj wychodzili z sali, stanęła pani Węgielewska do kadryla.

Na korytarzu, na wschodach, mieli jeszcze sposobność posłyszeć niejednę o koncercie uwagę, bo krytyków wszędzie najwięcéj jest zawsze — a przygana nibyto znawstwo oznacza. Solińskiego i prawnika obchodziło szczególniéj to, co o Cecylji mówiono: jedni zarzucali jéj minauderję, drudzy zbyt wielką śmiałość; inni znowu intonację fałszywą — inni jeszcze połykanie nut étude'y.

II.

Samowar syczał. Stary Grzegorz, służący pana Wincentego, stół różnemi zakąskami zastawił. Dwaj panowie zasiedli z cygarami w ustach. Grzegorz szklanki nalał. — Prawnik zagadywał wesoło, dowcipkował z Grzegorza, pragnął koniecznie spędzić chmury z czoła przyjaciela — lecz ten siedział milczący i patrzył posępnie przed siebie.

Gdy Grzegorz wyszedł, Soliński, mięszając zwolna herbatę łyżeczką, zagadał:

— Opowiedz mi teraz, mój Wicusiu, bliższe o Morowickich szczegóły, bo mnie dzieci Tytusa obchodzą serdecznie.

— Ha! Jedna to z wielu podobnych do siebie historji. Ale posłuchaj! — Ś. p. Tytus był szczęśliwym w małżeństwie, bo pani Ignacja jest sobie, ot... kobietą dobrą. To jest taką, z któréj wszystko, co kto zechce, zrobić może: słabą i małego rozumu, bez własnego zdania — i widzącą zaledwo koniec swojego noska. Tytus poczciwy był z nią szczęśliwym jednak: kochał ją — a ona go słuchała. Boć i nieraz sprzeczność widzimy taką, że rozum łączy się harmonijnie z głupotą; słabość ze siłą — a nawet i szlachetność z niecnotą, gdy pomiędzy niemi przybłąka się ona spojnia miłością przezwana. Niezbadany to porządek czyli nieporządek uczucia!... Dwoje ładnych dziatek, Adolfek i Cesia, stanowiło najwyższą roskosz Tytusa. Wtém, niestety, zaziębił się gdzieś tam na polowaniu i dostał zapalenia płuc. Wyleczyli go niby-to — ale cherlał odtąd i wywiązały się suchoty. Poznał się na stanie zdrowia swojego, przewidywał rychły koniec... a jako uczciwy człowiek, pragnął interesa uregulowane zostawić. Wezwał mnie zatém do Żórawina, a gdym zjechał, oświadczył chęć zrobienia testamentu. — „A kogoż zamianujesz opiekunem dzieci?“ zapytałem. — „Andrzeja Niwinieckiego i Mateusza Karwaszowskiego“ odrzekł. — „Zaprawdę, że nie można było lepszego uczynić wyboru!“ zawołałem zadowolony — „obadwaj są ludzie prawi, honorowi, szlachetni.“ — „Wezwałem ich wczoraj przez umyślnego i zapewne nadjadą zaraz.“ — Podał mi do przejrzenia swoją wolę ostatnią: Żórawin przeznaczył żonie, jako dożywocie; Skarbów Adolfowi a Tarnówkę Cesi. Skarbów oczywiście wart o jednę trzecią więcéj od Tarnówka, ale... zwykle to synom przypada la part du lion. Zresztą i Tarnówka piękny stanowi posag. Po śmierci zaś matki, Żórawin także ma przypaść Adolfowi, który z dóbr tych spłaci Cecylji czterykroć sto tysięcy złp.

— A wniosek pani Ignacji?

— Dwakroć stotysięcy. Połowa jest zahypotekowaną zaraz po Towarzystwie kredytowém na Skarbowie, a połowa na Tarnówku. Żórawin był otaxowanym 960,000, Skarbów miljon sześćkroć stotysięcy, Tarnówko

860,000. Gotówki było 90,000. Poczynił legata różne: na kościół, na zakłady dobroczynne i dla służby. — Uregulowałem już wszystko, gdy dwaj wezwani nadjechali panowie. Zgodzili się chętnie na opiekę — lubo w testatora wmówić usiłowali, że to on ich raczéj przeżyje. W czasie czynności naszéj nadjechał Węgielewski. Przez grzeczność zaproszonym został na świadka.. A potém stało się tak jakoś, że w razie zejścia jednego z opiekunów, on miał w jego wstąpić miejsce. Ten dodatek nie podobał mi się wcale, bo znałem przecie na wskroś Idziego. Ostrzegłem kilku słowami na ucho Tytusa, ale sam poczciwy i względny, niechcący ubliżyć nikomu — ile że Węgielewski sam się narzucił — puścił uwagę moją na lekko. — „Nie jest to charakter żaden, a temperament odzywa się czasem niedobry — odrzekł mi — ale cóżby on złego mógł zbroić? Andrzéj i Mateusz staną na straży. Zresztą, przecie nieuczciwym nie jest, a w niczém nigdy samodzielnie działać nie będzie, gdyby tam i po śmierci którego, opiekunem naprawdę został.“ Testament zatém podpisano, opieczętowano — i rzecz się skończyła. Przyniesiono omszone butelki z piwnicy; wniesiono nasamprzód toast na długie życie i zdrowie gospodarza... i ugościliśmy się wszyscy doskonale. — W rok niespełna potém przeniósł się zacny Tytus do wieczności, a panowie Andrzéj i Mateusz objęli opiekę... Objęli ją — jak to się zwykle dzieje — niby też to! — We dwa lata po śmierci męża, pani Ignacja została panią Węgielewską — i pan Idzi samowładnie w całym zapanował majątku. Gospodarował, jak mu się żywnie podobało, a opiekunowie przez d e l i k a t n o ś ć zgadzali się na wszystko. Do Adolfa przyjęto guwernera Francuza, naturalnie m o n s i e u r T r i c o t e a u; do Cesi Francuzkę i Niemkę. — M o n s i e u r T r i c o t e a u zręczny Paryżanin, mielący bezprzerwanie językiem, nadskakujący wszystkim, blagier wierutny, fryzjerczyk czy baletnik — całe wychowanie chłopca prowadził. A jak? Zmiłuj się, Boże! Gdy Adolfek skończył lat dwanaście, wysłano go z m o n s i e u r T r i c o t e a u do *.

— I opiekunowie nic przeciwko temu T r i c o t e a u nie mieli, ani też przeciw wyjazdowi za granicę?

— Nie! Zgoła nic! Bo tak kazał „c h i c.“ Mówiłem coś tam jednemu i drugiemu — ale ruszyli ramionami i odrzekli tylko: „Życzenie matki! Matka pragnie, by kształcił się za granicą. Wolelibyśmy, naturalnie, ażeby w kraju pobierał nauki. Ale jakżeż się tu sprzeciwić matce? Zresztą są i tam dobre szkoły. Potém pojedzie Adolfek na który uniwersytet niemiecki.“ — I na tém się skończyło. — Cesia miała nasamprzód jakąś m a d a m e V o l a n t, potém m i s s N o t h i n g i m a d e m o i s e l l e L a T o r c h e. A potém odwieźli ją na pensją do Bruxeli. — Tymczasem po dwóch latach urodził się Węgielewskim synek.

— A!! pokiwał Soliński głową.

— Synek ten, rozumie się, zagarnął dla siebie całe przywiązanie matki, jakieby na troje powinna była rozdzielić. A chłonie, c o m m e d e r a i s o n, i majątek starszego rodzeństwa. Z * Adolf do Paryża pojechał, zawsze ze swoim m o n s i e u r T r i c o t e a u. Nauki w Paryżu, bardzo znowu naturalnie, wiele a wiele kosztowały — zaśmiał się Nawrociński sarkastycznie. — Potém, jako dosadni argument tych nauk — mówił prawnik daléj — począł paniczyk wielkie robić długi. Węgielewski jeździł tam po trzy razy, by je popłacić... i musiał trzecią część lasu na Skarbowie sprzedać... a potém i dług znaczny na hypotekę zaciągnąć... Nawrociński chrząknął i poklepał się po kieszeniach — a zrozumiesz, panie Janie, że gdy pieniądze z jednéj wykulną się kieszeni, to i wleżą do drugiéj... boć i mały synek podrastał i prosperował, więc potrzeba było o jego przyszłą dbać dolę. — Tymczasem Adolfek, kończąc lat dwadzieścia, wypędził zacnego m o n s i e u r T r i c o t e a u, dopatrzywszy się szkaradnego machjawelstwa tyloletniego przyjaciela i mentora: wpadł mu list jakiś Francuza do ojczyma w rękę, o którego treści dziwne sobie na ucho podawano szczegóły, jedném słowem: dowiedział się z niego o intrygach ohydnych d e l o n g u e m a i n — i wielką zrobił c h r y j ę. Pnn Idzi bezzwłocznie z żoną do Paryża pospieszył i rzecz tę fatalną załatali jakoś. A za ich powrotem potrzeba znowu była i lasu na Skarbowie sprzedać i dług zaciągnąć — bo Adolf w jakieś tam nowe popadł tarapaty. Opiekunowie wzdychali... lecz nie zaradzili niczemu.

— I nie żądali, by Adolf wrócił do kraju?

— Pragnęli tego. Ale Skarbow jest wydzierżawionym przez pana Idziego, dzierżawa skończy się dopiero gdy Adolf pełnoletnim zostanie — a panicz postanowił wrócić dopiero, gdy będzie mógł w swojém osiąść dziedzictwie.

— I opiekunowie to uwzględnili?

— Naturalnie! A jeszcze co więcéj: potrzeba było w Skarbowie postawić pałac dla młodego dziedzica, by wszystko c h i c miało...

— Ale cóż z oną stało się gotówką?

— Właśnie też poszła na pałac, na budynki różne, na założenie ogrodu, parku... Nadto wykazał pan Idzi, że dobra są w ręku doskonałego agronoma, który je we wzorowym odda stanie. Są wszelako i różne ameljoracyjne nakłady, których przecie dzierżawca ponosić nie może! — prawnik ruszył ramionami i oczy przewrócił.

— A dochody z dóbr?

— Są na teraz małe bardzo, rzecz jasna, jak słońce! A czyste — oj, czyste! Pan Idzi doskonale prowadzi rachunki — wzorowo!... Wszystko jest czyste... jak błoto! dodał pan Wincenty zcicha. — Doszedłem nawet, że Węgielewski podał w kontrakcie dzierżawnym tylko trzy czwarte... a część czwarta, no, oczywiście i słusznie... idzie a d c a p s a m.

— Podłość niesłychana! zbrodnia!

— Czegóż chcesz? Przecie o własnym synku pamiętać musi, bo bliższą jest koszula ciała, niż suknia. Podobnie dzieje się z Tarnówkiem: jest także wydzierżawionym; i tam już część lasu sprzedano, bo pieniądze były potrzebne na wybudowanie folwarku, czworaków, restaurację i przebudowanie dworu, założenie ogrodów, oczyszczenie stawów, podniesienie gospodarstwa i t. p. A przecież i wychowanie Cesi w Bruxeli grube kosztuje pieniądze: wychowanie, wykształcenie wykwintne, doskonałe — które nam dzisiaj podziwiać kazano.

— To więc dla tego! pokiwał Soliński głową.

— A rozumie się! Mydełko na oczy. Także wieczory, wieczorynki, objady, mają zatkać niesforne buzie. Tak dzieje się tutaj — a Żórawin słynie z gościnności: „Papką, czapką i solą, ludzie ludzi niewolą — mówi stare przysłowie. Pan Idzi Węgielewski uchodzi za bardzo zacnego obywatela, bywa wzywanym na wszelkie zebrania obywatelskie, a najczęściéj prezyduje, c o m m e d e r a i s o n. Majątek ma wielki... i przyrabiać go umie, a h o n n i s o i t q u i m a l y p e n s e!.. Na Żórawin także już zaciągnięto długi, bo i tam poczęły walić się budynki, a meljoracje gruntów były koniecznie potrzebne. Po śmierci żony spłaci, oczywiście, pasierbów... bo i kupił już znaczne dobra, przyległe... Polesin.

— I na to wszystko safandulska opieka oczy zamyka?

— Oj, i na gorsze jeszcze sprawy! Adolf brnie coraz bardziéj, a pan Idzi długi jego z ogromnym dla siebie zyskiem spłaca. Chłopak już dzisiaj straconym zupełnie jest człowiekiem; wyżył się moralnie, zniszczył zdrowie i roztrwonił majątek. Zasługa to głównie tego m o n s i e u r T r i c o t e a u, powiernika ojczyma... płatnego nikczemnika, służalca! wykrztusił Nawrociński z oburzeniem, poczerwieniały jak burak.

— Okropnie! porwał się Soliński, przycisnął obu-

rącz skronie i przebiegł kilka razy pokój. — Ależ to jest zabójstwo!

— Nie chcę powiedzieć, że pan Idzi po to trzyma go w Paryżu, by swoje wyczerpnął życie: takiego założenia nie uczynił pewnie. Ale chce go jak najdłużéj trzymać zdala od kraju, by w nieobecności jego wszelkie możebne ciągnąć zyski... chociażby chłopak w tym nowożytnym Babylonie ostatecznie życie miał położyć.

— Zbrodnicze postępowanie!

— Ależ, Jasiu mój, tak przecie dzieje się często!... O czém tobie pewnie ani śniło się kiedy, poczciwcze. Tak czynią ludzie z rozumem, praktyczni, którzy umieją robić majątek, a zatém i szacunek dzierżą powszechny i zasłużone w społeczeństwie stanowisko. Bo i któżby tego bogatym mógł odmówić ludziom? Nie prawdaż? syknął prawnik przez zęby. Pan Idzi nieraz i w honorowych zasiada sądach — bo społeczność umie takie ocenić zasługi.

— Pragnę z duszy całéj, ażebyś w szkicowaniu tego społecznego obrazku przesadzał.

— Rozpatrzysz się sam we wszystkiém! A potém serdeczniéj jeszcze ocenisz szlachetność i zacne przymioty, które wśród nas burzę każdą przetrwały. Bo dzięki Opatrzności, mamy obok Idzich i obywateli cnót prawdziwych. — O Idzim nie przesadziłem w niczém.

— Ale powiedz... powiedz — rzucił się Soliński znowu obok na fotel — a cóż będzie z Cesią? Skoro syn jest zatraconym, oby przynajmniéj córka ocalała Tytusa!

— Cesię pragnie ojczym wydać za jakiego cudzoziemca bogatego, któryby ani wiedział, jakby to o jéj upomnieć się posag, który o Tarnówku i Żurawinie nic nie wie. — Skończyła już pensję, bo to zdolne jest dziewczę, ale dla kształcenia się wyższego ma w Bruxeli jeszcze dwa lata pozostać — pod wyłączną opieką pani baronowéj de St. Gilles.

— Któż jest ta kobieta?

— Madame la baronne! Żyje ona z całą arystokracją belgijską. Z nią Cecylja będzie bywała na koncertach, w teatrach. Ona ją w świat wprowadzi, w towarzystwa, na wieczorynki i bale. Na przyszłą zimę wybiera się do niéj i matka, jak mi mówiła. Madame la baronne niby wielką jest damą, ale to nie przeszkadza bynajmniéj, że na utrzymanie Cesi znaczną pobiera sumę. Poprowadzi ją téż zapewne wedle życzenia. Panna ładna, powabna... to i znajdzie się tam może jaki Francuz, Belgijczyk, Włoch, Holender, albo syn Albionu... wreszcie Niemiec lub Rosjanin...

— Przez miłość Boga! Tchu mi w piersiach nie staje — rzucił się niecierpliwie Soliński.

— Jest to niewątpliwém, jak dwa a dwa cztery. Sprowadzili ją tu po to, ażeby się popisała, a jeszcze na cel dobroczynny! Ażeby ją pokazać. Chórem więc krzyknie cała ich koterja: „C'est une merveille!“ „Państwo Węgielewscy doskonale wychowują córkę! Ten poczciwy ojczym nieporównane ma zasługi!“ — Nawet i panowie Andrzéj i Mateusz wielkie komplementa posłyszą.

— Długoż tu Cesia zabawi?

— Nie wiem. Mówiono coś tam na koncercie, że trzy tygodnie.

— Chciałem nie pójść wcale do Węgielewskich, lecz teraz pójdę. Muszę z nią pomówić, muszę ją poznać... Och, gdybym w nią innego mógł tchnąć ducha! Przecie jeszcze tak młoda. I nie miałażby była odziedziczyć jakiéj kropelki krwi po Tytusie? — Postawili dziewczątko dla popisu na estradzie, w obec licznéj publiczności, obcéj jéj zupełnie. Kaleczyło mnie jéj śmiałe spojrzenie, którém po sali powiodła. Ale gdy pobladła, gdy nuty w jéj ręku drżały, gdy spuściła oczy, a głosik tłumiony słabo tylko z ust jéj wychodził, — dziwnie miękło mi serce, żem aż niby łzę poczuł na oku. Potém, znać podżegnęła ją ambicja, energja, jakkolwiek młodziutkiego jeszcze ducha... i śpiewała jak aniołek... Och, mój Tytusie! — Gdy wychodziła ze sali, paliły jéj lica — i to mnie przekonało, jaką w sobie stoczyła walkę.

— Rok siedmnasty! Pensjonarka!

— Dla tego właśnie dziwiła i bolała mnie ta zbytnia jéj śmiałość.

— Więc idziemy jutro wieczorem do Węgielewskich?

— Pójdziemy. A poprzednio, wedle form przyjętych, złożę pani Ignacji wizytę moją w południe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Marja Grabowska. Mały nauczyciel. Komedyjka w dwóch aktach Uwieńczona pierwszą nagrodą konkursową. Lwów. 1874. Księgarnia polska, str. 36, w 16ce.

Nie jest to komedyjka, ale właściwie cztery obrazki, dwa domowe a dwa szkólne. W pierwszym ubolewa biedny drwal, że nie ma czém wyżywić dzieci, ani dać im szkólnego wykształcenia, choć jego chłopiec Janek i Zosia mają do niego tyle chęci. Matka ubolewa zaś, że zbywa jéj na środkach do wyżywienia dzieci i sprzecznie z mężowskiém pojęciem obawia się, ażeby Jankowi nie przewróciło się w głowie. — Drugi obrazek wyobraża pana, który przybył ze swym synkiem Bronisiem, ażeby wymagać zapłaty komornego, zaległego od 3 kwartałów; ale widząc niemożność odebrania, wymawia drwalowi, że syna nie da do nauki, czego drwal tak mocno dla syna już pragnie; w skutek tego syn pana, Broniś, oświadcza, że Janka uczyć będzie. Trzeci obrazek przedstawia rozhukanych chłopców szkólnych w chwili rekreacji, nie myślących o nauce. W ich grono wchodzi Broniś jako kolega, a że im się nie podoba ze swego wzięcia, więc chcą mu dać frycówkę na wstępne. Od tego obraniają go Janek i Zosia, i ucieczką ratują się od gromady chłopców szkólnych, kamieni i razów, — na co Broniś się oburza i żąda, ażeby jemu obiecane wstępne plagi zaspokojiły ich zachcianki do bójki. — Czwarty obrazek nareszcie przedstawia chłopców szkólnych niezadowolnionych z postępowania Bronisia, że z niemi nie chce kraść gruszek żydowi, ani wspólnie się bawić, ale owszém unika ich, więc zaskarżają go przed nauczycielem. Tenże pragnąc się przekonać czemu Broniś z kolegami nie bawi się — i mając go w podejrzeniu, jakie podsunęli mu uczniowie, iż może pali papyrosy, nachodzi go — przytém, że Broniś uczy Janka i Zosię, z czego ma wypływać, że: „szczęście i zbawienie naszéj ojczyzny leży w oświacie ludu“, i tytuł: Mały nauczyciel.

Zważywszy, że to jest tomik I „Bibljoteki dziecinnych amatorskich teatrów“, jak i okoliczność podana na tytule dziełka, że uwieńczone pierwszą nagrodą konkursową, — następujące nasuwają nam się uwagi:

Osoby zasiadające w komitecie tak mało wymagającemi były, że ich uwieńczenie tylko księgarskim lepem się staje, bo jakżeż można przedstawić na dziecinnym amatorskim teatrze sztukę, która wymaga przeszło 12 osób i zmian dekoracji pomiędzy sceną II a III izby — na ogród z płotem wysokim, na który szkólna młodzież się wspina!!... Teatr amatorski dziecinny mianowicie powinien nielicznemi i łatwemi środkami dopinać celu.

Dalej sama sztuczka nie jest moralną, — bo budzi uczucie wzgardy dla bliźnich — Niemców, a powinno się nie zapominać, zwłaszcza przy nauce dzieci, o tém, co pisze Krasiński:

Nie nie spychaj nigdy w dół
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie
Bo cel światów — szlachetnienie...
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,
Kto inaczéj świat swój kreśli.

Daléj niewłaściwą ta praca dla młodzieży: bo uczy źle mówić po polsku. Słowa włożone w usta drwala i jego żony, n. p. kiéj cię nigdzie przyjąć nie chcą (str. 4), cichajcie no! (str. 6), patrzcie ino (str. 9), paniczyk (str. 11), chodzić po próżnicy (str. 12) zamiast: chodzić nadaremnie; jak się porządnie pokażę (str. 12) zamiast: jeżeli się porządnie ubraną ukażę; zaraz do Niemca podrałujesz na skargę (str. 14); Niemiec powędruje do swego Vaterlandu (str. 15) — nie mogą być wzorowemi, a dzieci wyuczywszy się ich, mniéj zyskają, niżeliby zyskać powinny ucząc się pięknych zwrotów mowy i szlachetnych zasad.

W każdym razie ta nie-komedyjka — bo nie ma ani żadnego zawikłania, ani osobistości charakterystycznéj komicznéj, wikłającéj się w sidła własnego głupstwa, ani też kolizja charakterów naprzeciw sobie działających nie wzbudza prawdziwego udziału (Wład. Nehring), — nie ma ani wesołości, ani humorystyki, nie zasłużyła na pierwszą nagrodę, i o wiele gorszą jest od następnéj:

Izdebska Władysława. Naszyjnik Babuni. Komedyjka w jednym akcie wierszem (uwieńczona nagrodą konkursową). Lwów, 1874. Xięgarnia polska, str. 56, in 16. Bibljoteka dziecinnych amatorskich teatrów. Tomik II.

Dążność jak i cały układ w swojim rodzaju dosyć dobre. Mianowicie uznania godném jest to, że autorka starała się sięgnąć myślą i uczuciem nieco daléj, niżeli światowi dziecinnymu zwykle kreślemy granice. Klarusia, siedmnastoletnia panienka, po śmierci matki staje się aniołem opiekuńczym nietylko swego młodszego rodzeństwa, ale i ludności dóbr, w których zamieszkuje. Ciotka Klarusi, która nie znała swych siostrzenic, obiecała przyjechać i dać najzasłużeńszéj wnuczce naszyjnik kosztowny po ich babuni. Jania, siostra młodsza Klarusi, nadzwyczaj zarozumiała, złośliwa i zazdrosna, roji sobie, że to jéj ta ozdoba przypadnie. Na samym wstępie już obruszyła ciotkę, że powitała ją we francuzkim a nie polskim języku i coraz daléj brnęła w ciotki niełaskę, będąc niegrzeczną; ani siostry jéj Frani pretensje nie miały téż nic za sobą. Naturalnie, że naszyjnik dostał się Klarusi.

Pełno świeżych myśli. Język dość dobry; lecz we wierszowaniu pewna niedbałość, n. p.:

I téj z nas ciocia ma go złożyć w darze,
Która się najgodniejszą go okaże (str. 8).
Zamiast: Co najgodniejszą jego się okaże.
Albo: Temu naszyjnik piękny się dostanie,
W nagrodę cnót i przymiotów kochanie (str. 26).
Zamiast: W nagrodę cnót swych, za bliźnich kochanie.
Albo: Gdyby Bóg dał jéj zarządzać czeladką (str. 32).
Zamiast: Gdyby zarządzać dał jéj Bóg czeladką.

Albo gdy ciotka mówi do Frani o jéj powitaniu:

Czyż nam nie starczy nasza mowa własna,
Tak dziarsko jędrna, tak uroczo jasna,
By się obcemi słowy posługiwać,
Rodzime rzucać lub wstydnie ukrywać,
Szczebioty nadeń przekładać modne.
Zamiast: Nadeń szczebioty wyżéj cenić modne!
Kto gardzi ojcem — ten dziecko wyrodne.
A język własny to nasz ojciec luby,
Sędziwy wiekiem, godzien czci i chluby.

Dalszych kilka wierszy niestety nie są zrozumiałe dla starszych — a cóż dla młodych.

We wierszu (str. 40) drugim od końca brakuje stopy.
Albo: Jakże o waszém sądzić wychowaniu
Ciocia ma? — o méj opiece, staraniu.
Zamiast: Ma ciocia?...

W ostatnim wierszu sceny XI Marcysi, brakuje stopy. — Albo w téjże scenie Klarusia odpowiada ciotce na uwagę że deszcz leje i ciotka dla tego odradza jéj, ażeby poszła do choréj kobiety na kolonji:

Oh! gdzie jęk cioeiu, gdzie niedola wzywa,
Czyż nas powinna zastraszać ulewa?
Gdyby z rodzeństwa zachorzało które,
Uważałażbym na grożącą chmurę?

Takich ustępów uczyć na pamięć młodzież — nie można, jeżeli pragniemy, ażeby się rozmiłowały w naszéj mowie, ażeby nabrały gustu do poprawnego wykładu swych uczuć i myśli.

Takich drobnych a tak niedbale wykonanych prac nie powinno się wieńczyć nagrodami.

ROZMAITOŚCI.

— **Teatr.** O odegraniu w 2gie święto zamilczemy.

Następne przedstawienie komedji Alex. hr. Fredry: „Geldhab" nieliczną, bo około stugłową sprowadziło publiczność, gdy na amatorskim teatrze w Berlinie na téj saméj sztuce było przeszło trzysta osób.

A warto — dla widzenia gry p. Zamojskiego w roli Geldhaba — odbyć podróż z Berlina do Poznania.

Lubo Dziennik Poznański utrzymuje, że córka Geldhaba „nie psuła całości" — radzilibyśmy Dyrekcji, ażeby nie powierzała jéj chyba figurantki rolę. Widocznie dla niéj teatr jest środkiem zwracania na się uwagi z lóż, dokąd się przy swém deklamowaniu ciągle zwraca, jak pensjonarka przy powtarzaniu zadanego ku swéj nauczycielce. To czcze deklamowanie, przy nieustanném poprawianiu sobie toalety nawet w chwilach gdy narzeczonymu swemu daje odprawę, — gdy zrozpaczonego ojca odprowadza, — albo patos tam gdzie go nie ma — dowodzą, że nie dba nawet o elementarne zasady aktorskie.

Z Lisiewicza, gdyby o to dbał, mógłby się wykształcić artysta, — ale co xiążę, to niezgrabny i sztywny dla tego głównie: że mniéj dba o przejęcie się swą rolą, niż o to, żeby się stał eleganckim. Niech tylko zapomni o sobie.

P. Zamojski stanowczo jest filarem poznańskiéj sceny. Z jego pilności i umiejętności powinniby koledzy brać wzór i pohop do tego, ażeby się stali artystami, a przez to podnieśli teatr poznański do tego stopnia znaczenia, jakiego się cała Polska spodziewała — przy dawaniu składek na teatru budowę, t. j. do stopnia chluby i powagi narodowéj.

* * *

— Jak najchętniéj umieszczamy poniżéj przesłane nam uwagi, jako zgodne z naszém pojmowaniem rzeczy:

Szanowna Redakcjo!

Custin nazwał Rosją państwem zasad. — Nasze społeczeństwo możnaby z równém prawem nazwać społeczeństwem kulisowych efektów. Wszystko co robimy, robimy dla demonstracji. Zamiast przymnażać sił narodowych, urządzamy teatralne obchody. Zamiast pracować nad dobrém narodu, bawimy się popisami bohaterstwa aktorskiego, o którém wiemy naprzód, że do niczego nie doprowadzi, o którém powinniśmy wiedzieć, że wiele sił tak drogich uroni. Może się mylimy. Ale zdaje nam się, że znów demonstracją, i demonstracją tylko będzie wybicie medalu pamiątkowego na cześć Matejki. Wybiciem tego medalu nie dodamy i cala wzrostu i tak wielkiemu mistrzowi, i nie damy sobie świadectwa przywiązania do sztuki. Bo gdy się medal bije, a obrazów nie kupuje, bije się medal jakby tylko na zbycie; jakby na to, by zagłuszyć własne nieczyste

sumienie. Rozpoczynamy agitację i zbieramy pieniądze, z których wydania nic a nic społeczeństwu nie przyjdzie. A każda nieużyteczna i li demonstracyjna składka — odstrasza wszystkich od wszelkich składek. Wolimy marnowania grosza raz przecię zaprzestać i przez dłuższy czas, choćby przez lat kilka, zbierać pieniądz na iście użyteczny cel: na zakupno arcydzieł Matejki. Gdy one u nas w kraju zostaną, będą skarbem sztuki, i będą dla sztuki źródłem ożywczém. W kraju będą wzmagać ducha narodowego. Za granicą będą głośném świadectwem naszéj lekkomyślności. Zostawmy zbytki tym, co mają sił do zbytku.

Medal to będzie zbytek, a nam potrzeba chleba pożywczego, i na chleb ów sił ledwie starczy.

Śmiemy tedy prosić Redakcję Tygodnika Wielkopolskiego, aby się podjęła tak potrzebnéj inicjatywy, i aby wezwała inne redakcje do pomocy. Sztuka, to potrzeba narodowa. Ale aby była użyteczną, trzeba się do niéj brać praktycznie. Pielęgnowana rozumnie doda narodowi poważania, miastom znaczenia, a młodzieży zapału i chęci do pracy.

Prosząc o umieszczenie tego pisma w szpaltach waszego dziennika, zapewniamy o głębokiém poważaniu.

Wojciech Dzieduszycki. Paweł Nikorowicz. Juljusz Rozwadowski. Zenon Dobrowolski. Jan Ochanowicz. Grzegorz Łukasiewicz. Alfred Dobrowolski. Konstanty Ładomirski. Mieczysław Rokossowski. Ks. Sawa. Wereszczyński. Juljan Puzyna.

* * *

— **Hans Makart,** rodem ze Salzburga, uczeń niedawno co zmarłego Pilotty'ego, jest jednym z najsławniejszych żyjących malarzów. Odznaczył się znakomicie jako genjalny kolorysta, mianowicie w swych olejnych obrazach: „Tegoczesne amoretty“ i „Siedm grzechów głównych“ (Zaraza we Florencji). W tych dniach nadejdą na wystawę do Poznania dwie prace jego: „Abundancja“, malowane dla ozdobienia sali jadalnéj pełacu hr. Hoyosz; a że pałac ten sprzedano — zakupił je do Berlina zakład Sachs'a „Internationales Kunstsalon.“ — Zwracamy na te dekoracyjne fryzy lubowników uwagę, z tém nadmienieniem, że są przeznaczone do umieszczenia na wysokości 15 stóp — przez co cała perspektywa się zmienia i niewtajemniczonym, patrzącym wprost i na wysokości obrazu — rysunek wydawać się zdaje niepoprawnym. Kompozycje są bardzo bogate i koloryt efektowy, właściwy temu mistrzowi.

Na jednéj z tych fryz jest wyobrażoną obfitość ziemi, na drugiéj obfitość mórz w pokarmy dla ludzi. W pierwszéj na pierwszym planie siedzi niewiasta pełnych klasycznych form już przekwitłych — czysto ziemskich. Na łonie jéj jedno z bliźniąt, gdy drugie opiera się o jéj kolano i sięga ku piersiom matki. Po lewéj stronie tańczą żniwiarki z południowych krajin we fantastyczném i fantazyjném ubraniu. W środku téj grupy młodzian łowiec coś szepce młodziuchnéj dziewicy i zdaje się kierować ją ku środkowéj postaci Obfitości. Po prawéj grupa tańczących winnicy robotników i zatrudnionych przy swéj pracy, a obfitym plonie. Girlanda przedmiotów pokarmowych suto się roztacza po ziemi, przepysznie odbijając się od złotego tła całości i firanek ciemno-purpurowych.

Na drugiéj fryzie od lewéj strony ramy sterczy z przezroczego morza przód galiony z brązową figurą pełną fantastyki. Pod żaglem złotolitym niebieskawym wiosłuje rybak, gdy grupa kobiet i dzieci wysypują z ciągnionéj przez nie sieci skarby jadalne morskie. Na przodzie na wpół obnażona dziewica, stojąca we wodzie, sięga muszlą po perły i korale; obok niéj ledwie co z wody wyszła, jeszcze nogą w morzu tkwiąca kobieta siedząca, do widzów plecami zwrócona. Po prawéj stronie leży w innéj znów postaci Obfitość, owita w purpurowe szaty, swemi dziećmi otoczona. U stóp jéj roztaczają się dziwaczne i najrozmajitsze plony rybołóstwa wśród korali i muszli.

Całość jest bardzo urocza i koloryt olśniewający.

Skrzynka do listów.

W numerze 10 Tygodnika było umieszczone pytanie: „Co wyżéj cenić należy: charakter czy naukę?“ na które przysyłam odpowiedź:

Po krótkiéj rozwadze można odpowiedzieć stanowczo, że charakter wyżéj u człowieka cenić należy, aniżeli naukę. Charakter jest najwyższy cel, do którego człowiek dążyć powinien, a kto go już osięgnął, ten posiadł skarb najwyższy, ten posiadł najpiękniejsze przymioty ducha. Bo i na czemże się zasadza charakter? Oto na głęboko wkorzenionych zasadach moralnych, na miłości ojczyzny i dobroci wrodzonéj. Człowiek z charakterem więc jest prawdziwym wybrańcem ludzkości. Dla tego zdolności człowieka mogą być małe, wiedza nie bardzo rozległa, a pomimo to — jeżeli on jest człowiekiem z charakterem — to wszystkie czyny jego są dobre i zbawienne, Przeciwnie cóż znaczy najpotężniejszy genjusz bez charakteru, bez zasad moralnych i innych zalet, na których zasadza się charakter? Cóż przyjdzie z jego działań, kiedy ich nie będzie ożywiać duch boży? Zaiste prace takiego genjusza będą zgubne i podkopujące ludzkość, a tém niebezpieczniejsze, że będą mądrze obmyślane i wykonane Prawdziwą tedy wartość człowieka stanowi charakter nieskazitelny i nie ma zaiste większéj pochwały dla człowieka, jak powiedzieć o kim: „to człowiek z charakterem.“

Student z Przemyśla.

* * *

Odpowiedź na twierdzenie p. K. D., umieszczone w Nr. 11 Tygodnika Wielkopolskiego:

W kwestji kartofla nie mogę się zgodzić z p. K. D., żeby tylko jedna dziesiąta część narodu polskiego mówiła ten kartofel, a reszta ta kartofel; bowiem zestarzałem się a w całym kraju inaczéj mówiących słyszałem, wyjąwszy jednéj Wielkopolski przez zarazę od Niemców, któréjby się właśnie najwięcéj wystrzegać powinna.

Nie mogę się także zgodzić na to, żeby niemiecki język miał być normą naszego, ani też na to, żeby rzeczowniki brane z innych języków zachowywały koniecznie rodzaj w nich użyty; owszém twierdzę, że przyswajane wyrazy powinny, o ile się to da, przyjmować charakter języka naszego. Wszakże i we francuzkim mówi się une pantoufle, a w naszym wyrażamy się bardzo trafnie ten pantofel, w niemieckim die Deichsel, my mówiemy ten dyszel. Gramatyki choćby i na jedno się zgadzały, nie mogą być ostatecznym sądem w tym względzie, bo one są tylko uwagami robionemi nad charakterem języka, dla tego narody wprzód tworzą języki niż gramatyki. Wyrazy magiel, piszczel, używają także u nas rodzaju męzkiego, ci tylko mówią ta piszczel, którzy mają na myśli czém on jest, to jest kością. Jedna tylko przerembel nie tyle dała się nagiąć do charakteru języka naszego, mimo to z czasem może się da lepiéj przyswoić, bo przecież lepiéj brzmi wyrażenie w przeremblu, aniżeli w przerembli.

F. M.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.